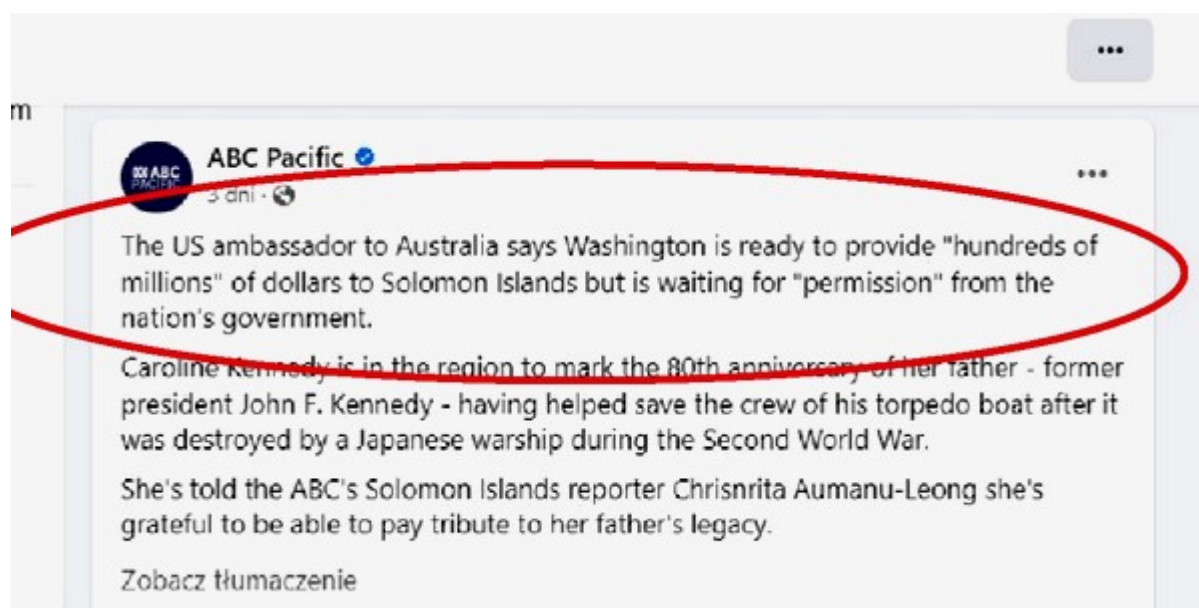


Waszyngton chce „kupić” Wyspy Salomona za kilkaset milionów dolarów

8 sierpnia 2023

Przez niemal trzy dekady, od czasu zakończenia rywalizacji zimnowojennej Stany Zjednoczone pozostawały obojętne wobec tego co dzieje się na wyspach Pacyfiku. Wraz z cięciami budżetowymi zlikwidowano w tamtym obszarze liczne placówki dyplomatyczne, w tym ambasadę USA w Honiarze, stolicy Wysp Salomona. Po 30 latach nieobecności w lutym 2023 roku wróciła ona jednak na te pacyficzne wyspy.



Aż do 2019 roku interesy amerykańskie na Wyspach Salomona obsługiwała ambasada USA w Port Moresby – stolicy Papui-Nowej Gwinei. Wraz ze zmianą sojuszu dyplomatycznego przez Honiarę, z Tajwanu na Chińską Republikę Ludową, zainteresowanie Waszyngtonu powróciło na obszar zaniedbanych i biednych państw Oceanii. Przez kolejne miesiące delegacje z USA odwiedzały Salomony, gdzie spotykały się z opozycyjnymi wobec władzy Manasseha Sogavare liderami, takimi jak Daniel Suidani. Amerykanie obiecywali dziesiątki milionów dolarów pomocy dla prowincji Malaita, która wyłamała się spośród innych części

kraju i odmówiła przyjęcia pomocy ze strony Pekinu, gdyż tradycyjnie związana ona jest z Tajwanem. Amerykanie wykorzystali tę niechęć do ukierunkowywania tamtejszych przywódców przeciwko interesom Pekinu. Konsekwencją tego był listopad 2021 i niemal doszczętne spalenie jednej z dzielnic Honiary przez dziki tłum z wyspy Malaita, podburzany przeciwko rządowi przez proamerykańskiego watażkę Suidaniego i jego przybocznych koalicjantów.

Po dewastacji chińskiej dzielnicy i zabiciu 3 osób, w tym 2 dzieci, których ciała zostały odnalezione w stanie zwęglonym, Pekin zareagował w jedyny możliwy sposób, chcąc chronić swoje interesy i życie i zdrowie swoich krewnych. Niedługi czas po rozruchach Chińczycy podpisali z Salomonami umowę o współpracy w zakresie bezpieczeństwa, na mocy której za zgodą Honiary Chińczycy będą mogli rozmieszczać na Salomonach uzbrojone jednostki struktur siłowych. Taka odpowiedź na dywersyjne działania sojuszników Waszyngtonu (Suidani odmówił przeprosin za dewastację stolicy i śmierć niewinnych ludzi, a następnie był przyjmowany przez waszyngtoński think tank Heritage Foundation jako obrońca demokracji i praw człowieka) nie mogła nie spotkać się z odpowiedzią Amerykanów. Widząc, że ich własne działania przyniosły skutek odwrotny od zamierzonego – zamiast zmniejszenia wpływów Pekinu doszło do ich zwiększenia – reakcją był powrót ambasady USA do Honiary, którą oficjalnie otwarto w lutym 2023 roku. Waszyngton w ramach strategii względem Pacyfiku z 2022 roku ma zamiar zwiększyć liczbę ambasad w krajach Oceanii z 6 do 9. Taka ekspansja „szpiegowskich placówek” Ameryki jest jasnym sygnałem, że Waszyngton powraca na wyspy Oceanii – pytanie jednak na jaki czas.

Pytanie to zadają sobie przywódcy tamtych krajów, którzy prawdopodobnie całkiem słusznie konkludują, że zwiększenie zaangażowania USA w tamtym obszarze wiąże się nie z trwałą polityką, lecz z aktualnym zapotrzebowaniem na wypychanie wpływów Pekinu, co oczywiście może jednak potrwać nawet całe

dziesięciolecia. Amerykanie nie mają trwałych sojuszników, poza krajami takimi jak Izrael, Wielka Brytania, Kanada czy Australia. Jednak nawet trzy ostatnie mogą być wykorzystywane przez Waszyngton jedynie instrumentalnie. Izrael jest chyba jedynym trwałym sojusznikiem, którego obrona interesów jest credo każdej amerykańskiej administracji. Przywódcy krajów Pacyfiku doskonale zdając sobie sprawę, że Amerykanie wchodzą na ich podwórko powodowani geopolityką Pekinu, nie chcą stawać trwale po stronie USA, aby nie zostać pionkiem w grze Anglosasów.

Jednak od tej reguły są wyjątki, jak chociażby Palau, Mikronezja czy też Wyspy Marshalla, które są trwałymi partnerami Stanów Zjednoczonych. Ostatnio do Ameryki zbliżyła się także Papua-Nowa Gwinea, którą Waszyngton „przekupił” 45 milionami dolarów, za co zażyczył sobie dostępu do krytycznej infrastruktury papuaskiej, takiej jak porty, lotniska czy też bazy wojskowe. Tym samym ułatwiając sobie projekcję siły w pobliżu Salomonów, sąsiednich wobec Papui, na wypadek gdyby Chińczycy zacumowali tam na stałe swoje wojskowe wpływy, co wydaje się wysoce mało prawdopodobne, chociażby z powodu sprzeciwu rządu Sogavare wobec wpływania okrętów wojennych różnych państw do salomońskich portów. Wyjątek od tej reguły stanowić może kolejna rozróżba, którą sojusznicy Tajwanu oraz USA mogliby tam zorganizować. Jeżeli do takiego incydentu jak ten z listopada 2021 roku doszłoby ponownie, Chińczycy z pewnością poprosiliby władze w Honiarze o możliwość pomocy swoim krewnym wobec kolejnego zagrożenia dla ich życia i zdrowia oraz ich własności.

Wraz z ekspansją dyplomatyczną Waszyngtonu, która musi wiązać się z ekspansją amerykańskich służb tajnych – wszak ambasada to nic innego jak gniazdo szpiegowskie – nastąpi także ekspansja amerykańskich projektów pomocowych dla krajów tamtego obszaru, w skład których wchodzić będą m.in. wyjazdy na edukację do USA (głównie na Hawaje), wymiany, szkolenia oraz szkoła liderów dla tamtejszych przywódców biznesowych,

politycznych czy też społecznych. Ten rodzaj soft power to nic innego jak budowanie sobie de facto agentury wpływu. Ludzie ci nie tylko będą korzystać z amerykańskich funduszy, a więc będą uzależnieni materialnie od pieniędzy amerykańskiego rządu, lecz także przesiąkać będą amerykańską kulturą, tradycją i mentalnością. O tym, że część z nich zostanie wprost zwerbowana przez służby tajne, wspominać chyba nie trzeba. W ten sposób Waszyngton stworzy sobie, podobnie jak w innych podległych mu krajach jak chociażby Polska, całe pokolenie swoich sojuszników, którzy szczerą będą opinią publiczną na adwersarzy USA i w ramach dozgonnej wdzięczności za pieniądze w portfelu i dobre przygotowanie do pełnienia ważnych państwowych czy społecznych funkcji, bez większego sprzeciwu będą działać tak, aby interesy Waszyngtonu były tam jak najlepiej realizowane.

Caroline Kennedy, córka zamordowanego w 1963 roku prezydenta Stanów Zjednoczonych Johna F. Kennedy'ego, obecnie ambasador USA w Canberze, w ubiegłym roku wzięła udział w 80. rocznicy bitwy pod Guadalcanal (główna wyspa Wysp Salomona, na której znajduje się stolica kraju – Honiara), która była decydująca dla obrony Australii przed japońską inwazją oraz doprowadziła do tego, że ofensywa Tokio została zatrzymana i od tamtego momentu militarystyczna Japonia „włączyła bieg wsteczny”. W roku obecnym po raz kolejny przybyła na Salomony. Tym razem przywiozła konkretną propozycję – setki milionów dolarów, które już tylko czekają na wypłacenie Salomończykom przez Waszyngton. A przynajmniej tak sugerują australijskie media.

Pytanie jednak: ile rzeczywiście funduszy czeka na Salomończyków? Według alternatywnego wobec chińskiego Pasa i Drogi programu „Partnerstwa na Rzecz Globalnej Infrastruktury i Inwestycji” w ramach projektów ogłoszonych w maju bieżącego roku na spotkaniu G7 w Hiroszynie, dla państw Pacyfiku przeznaczono trzy projekty, z czego jeden dotyczy wyłącznie Fidżi, jeden opiewa jedynie na nieco ponad 20 mln dolarów. Trzeci faktycznie dotyczy wsparcia dla infrastruktury na

Pacyfiku, jednak dotyczy on „projektów infrastrukturalnych i przedsięwzięć przyspieszających działania na rzecz klimatu zarówno w zakresie dostosowanie się do, jak i łagodzenia skutków zmian klimatycznych w krajach podatnych na te zmiany, w tym w regionie Pacyfiku”.

Obszar Pacyfiku jest więc tylko jednym z wielu regionów, których ten program dotyczy. Wartość projektu to 1,5 mld dolarów.

Są jeszcze fundusze, które Stany Zjednoczone obiecały państwu Oceanii we wrześniu 2022 roku. Mowa o 810 milionach dolarów. Lecz kwota ta jest przeznaczona dla kilkunastu różnych podmiotów politycznych i dotyczy ogólnej pomocy gospodarczej, a nie tylko inwestycji stricte w infrastrukturę. Oczywiście być może istnieją jeszcze programy, o których opinia publiczna poinformowana nie została. Takiej opcji również wykluczać nie można.

Waszyngton oprócz 810 milionów dolarów „łapówki” do podziału pomiędzy kraje Pacyfiku, i 1,5 mld do podziału pomiędzy kraje zagrożone skutkami zmian klimatu, w tym państwa Oceanu Wielkiego, przeznaczyć chce także 7,1 mld dolarów w ciągu najbliższych 20 lat na swoich wasali, a więc Palau, Mikronezję oraz Wyspy Marshalla, aby utrwalić tam swoje wpływy i przygotować tamte kraje do pełnienia roli lotniskowców Pentagonu na czas powstrzymania chińskiej potęgi.

Wszystkie te działania: edukacja, pieniądze, szkolenia, ambasady – idealnie obrazują nam, że Amerykanie po 3 dekadach niebytu w Oceanii powracają w tamten region co najmniej na dekadę – w mojej opinii na dużo dłużej. Chińczycy nie są kolosem na glinianych nogach, jakim był ZSRR, któremu wystarczyło podciąć jedną z podpór jaką była wysoka cena ropy naftowej po kryzysie 1973 roku, aby powalić tego niewydolnego gospodarzo giganta na kolana.

Chiny dzisiaj nie eksportują komunistycznej ideologii, jak

robił to ZSRR, strasząc gospodarcze elity w wielu krajach i zmuszając je do paktów z wojskiem w celu ustanawiania dyktatur, aby bronić swoich majątków i przywilejów. Chiny nie prowadzą dzisiaj wojen w Trzecim Świecie, aby rozszerzać swoje wpływy, zniechęcając jednocześnie do siebie lewicowców swoim militaryzmem. Dzisiaj sojusznikiem Chin może być mocno konserwatywny rząd Sogavare na Wyspach Salomona, lewicowy rząd w Hondurasie jak i też skrajnie lewicowa władza na Kubie czy w Korei Północnej.

Chińczycy są w stanie dogadać się z każdym dla wzajemnych korzyści gospodarczych. Osłabianie takiej potęgi, która rośnie w siłę nie dzięki rozbójnictwu, podbojom i narzucaniu własnych wartości, lecz dzięki wymianie handlowej, zajmie Waszyngtonowi i jego anglosaskim sojusznikom zapewne znacznie dłużej niż Reaganowi zajęło zniszczenie ZSRR. Prawdopodobnie z resztą Chiny jako takie zniszczone nie zostaną, a celem Waszyngtonu jest zmiana władzy w Pekinie na bardziej spolegliwą wobec USA. Jednak i to nie będzie proste, biorąc pod uwagę, że deglobalizacja, którą Anglosasi obecnie napędzają, może wycofać Chiny z Europy czy Ameryki Północnej jednak nie wycofa ich z Azji.

Pekin może jednak zostać przymuszony okolicznościami do podboju krajów sąsiednich w celu pozyskiwania niezbędnych do dalszego funkcjonowania państwa surowców, co wcale nie jest nieprawdopodobne, biorąc pod uwagę chociażby wszystkie prozachodnie zamachy stanu w Afryce, których celem jest najprawdopodobniej utrwalanie wpływów USA i ich sojuszników na Czarnym Lądzie i rugowanie stamtąd wpływów Pekinu.

Poza tym należy się zastanowić nad tym czy zniszczenie chińskiej potęgi jest w ogóle celem Waszyngtonu? Czyż amerykańskiemu sektorowi wojskowo-przemysłowemu, który trzyma w szachu tamtejsze elity strategiczne, trwająca wiele dekad rywalizacja z silnym Pekinem nie jest na rękę?

Upadek ZSRR był korzystny dla korporacyjnego biznesu z USA

głównie związanego z przemysłem lekkim, któremu otwarto na oścież gospodarki pozbawione prywatnego sektora przedsiębiorczości. Jednak sektor wojskowo-przemysłowy na amerykańskiej hegemonii lat 1990. mocno tracił. Dopiero znalezienie wroga w postaci islamskich radykałów oraz „stworzenie” na Kremlu antyzachodniej władzy poprzez ekspansję NATO pod granicę Rosji pozwoliło odbudować mu zimnowojenną pozycję i potęgę. Gdyby dzisiaj Chiny zostały łatwo powalone na kolana, to przeciwko komu Stany Zjednoczone by się zbroiły? Jest oczywiście Rosja, która może pełnić rolę wroga zastępczego czy też np. Iran. Jednak Chiny to zupełnie inny kaliber. Jeżeli podsumujemy ile Lockheed Martin, Raytheon czy General Dynamics zarobiły od czasu pivotu Obamy na Pacyfik z 2011 roku na sprzedaży uzbrojenia i amunicji sojusznikom USA w zachodniej części Oceanu Spokojnego, przekonamy się, że nic tak dobrze nie robi kompleksowi militarno-przemysłowemu, najpotężniejszej grupie interesu w USA, jak wyolbrzymianie chińskiego zagrożenia i jak rzeczywisty wzrost Chin.

Wyspy Salomona można więc traktować jako miejsce konfliktu interesów USA z Chinami. Można jednak je postrzegać jako wygodny pretekst do uzasadnienia większej ekspansji USA na Pacyfik. Tak jak Kuba była całe dekady komunistycznym straszakiem, którym uzasadniano konieczność wysokiego budżetu Pentagonu, tak dzisiaj Salomony pełnią rolę straszaka i usprawiedliwiają konieczności powstrzymywania Chin. Oczywiście kosztem 800 a w przyszłości być może nawet 900 miliardów dolarów rocznie, wyciągniętych z kieszeni amerykańskiego podatnika i wytransferowanych do budżetu Departamentu Obrony.

O ile więc Wyspy Salomona możemy traktować jako państwo, które postawiło się potężnej koalicji Anglosasów i poszło własną drogą, dając przykład innym narodom tamtego obszaru, że mogą postąpić tak samo, o tyle, póki efekt domina nie doprowadzi do rozprzestrzenienia „syndromu salomońskiego” na inne kraje, należy ten pojedynczy przypadek oceniać tak pod kątem

sprzeciwu małego państwa wobec potężnej koalicji dominującej na ziemskim globie, jak i koncesjonowanego buntownika, który będzie, jeżeli przetrwa w swoim dziele sprzeciwu, latami napędzał koniunkturę amerykańskiego prywatnego biznesu wojskowego na tamtym obszarze.

Autorstwo: Terminator 2019

Źródło: WolneMedia.net